Nr. 10. We Lwowie dnia 6. marca 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

SPORNE TERYTORJA.

(Ciąg dalszy).

Kocjan postarzał się, ale zawsze rześki, zawsze Nemrod zawołany, zabitemi przez siebie i własnoręcznie wypchanemi ptakami zaopatruje niemal celniejsze zbiory zoologiczne w całych Austro-Węgrzech; jednakowo prostoduszny, łagodny i pracowity, dopasowuje się wybornie do otaczającej go ludności słowackiej Zuberca (i sąsiedniej Habówki), jeszcze bardziej potulnej i lękliwej nad miarę, a trzeźwej na wielkie utrapienie szynkarzy żydowskich, bankrutujących ciągle i szynkujących tylko wino, miód i piwo. Dzieło to miejscowego proboszcza słowackiego, wroga madjarszczyzny, a ascety. Doprowadził on swą parafję do tego, że z zapadającym zmrokiem, chłopi Zuberca zamykają się w swych piętrowych lub z faciatą drewnianych domach, na niezliczoną ilość zamków i ani sami wyjrzą na ulicę, ani do siebie nikogo nie puszczą. Pieśń tam rzadko się odezwie i to smutna, a dziarskość i fantazja tatrzańskich górali zamilkła w zupełności. Domy stawiają jak na Podhalu i w całych Tatrach z bierwion rozciętych i ułożonych poziomo jedna na drugiej, ale nie tylko spojenie, ale i całe często ściany zamazują gliną białą; rzeźbienie i ćwieczkowanie ozdobne góralskie spotkać można, ale często ono ustępuje malowaniu kwietnemu; w szczycie ornamentyka słońcowa trafia się, ale psują go facjatą poziomą. Ubiór — zwłaszcza kobiecy — prosty, ale zmienny, bo jak słusznie zauważyła jedna habowianka: „czo w jednej diedinie — to inakszy oblek“. Zasadniczy jednak typ góralski — zwłaszcza stroju męskiego — czuha, nogawice obcisłe, kierpce kapelusz i pas trzosowy pozostał wspólny z całem tatrzaństwem z odmianami w kroju i ornamentyce; czuhy bywają dłuższe i mniej zarzucone z fantazją na ramiona, a raczej wdziewane częściej na rękawy. Palonych butów węgierskich mniej tu widziałem, niż na Spiżu, a nawet mniej, niż w Zakopanem.

W okolicach były — jak na Podhalu — urządzenia sołtysie, ale nie tyle pańszczyzna ile nastała po niej wolność madjarska wraz z nędzą stała się zabójczą dla nich, więc „zemani (sołtysi) kapali, hynuli i wiac sotwa sut“, jak ze smutkiem mówił mi syn jednego z takich sołtysów, rychtar (wójt) wioski sąsiedniej.

Za jego wskazówkami idąc na Liptow, skierowałem drogę na wieś Huty, położoną między Zubercem a liptowskiemi Obłazami. Mieszkańcy jej wszyscy Polacy, choć dziś zesłowaczeni, pamiętają przecie o swem pochodzeniu, a nawet przypadkowo mają proboszcza Polaka, gdzieś z pod Pienin tu przybyłego. Nie zastałem go podówczas w domu. Stojąca przed plebanją żona dzwonnika, bardzo mi wychwalała ofiarność osadników, w zbudowaniu pięknego iście kościółka miejscowego — jak to oni z trudem o kilka kilometrów z nad urwisk liptowskich drogą górzystą „wozili skały na kostol“.

— A skąd wy się tu wzięli, Polacy? Może skąd przybyli? — zapytałem, umyślnie inspirując jej odpowiedź gotową. Myślałem, że mi zaprzeczy. Odpowiedziała z flegmą, posłuszna inspiracji:

— Musieli-ta predkowie pryjść od kiel.

* * *

Proszę teraz czytelnika spojrzeć na mapę pogranicza węgierskiego, w zachodniem pasmie karpackiem, począwszy na wschodzie od Muszyny i posuwając się przy wyłomie Dunajca, a Popradu wciąż na zachód w stronę Żywca i Jabłonki, aż poza stroną, gdzie góry rozstępują się w trzech działach — Beskidu polskiego, Beskidu szląskiego i węgierskiego (orawskiego). Pośrodku tej linji poziomej, naprzeciw Gorców leży główny trzon Tatrów i tam Podhale wraz z całą Nowotarszczyzną wrzyna się w terytorjum węgierskie, nie tyle klinem, jak raczej kabłąkiem, podługowatą jakby klamrą Od wschodniej prawej ściany tej klamry, leży Spiż, od zachodniej lewej — Orawa. Na południe Orawy rozlega się Liptow i obchodzi ową klamrę od dołu, od południa, dokąd też z przeciwnej strony dobiega Spiż. Na zachód od Orawy, ziemia galicyjska wrzyna się znów w terytorjum węgierskie taką samą, jak nowotarska klamrą, ale w czwórnasób mniejszą. Górna lewa jej ściana tworzy z idącą ku niej prostopadle, a raczej nieco pochyło ku zachodowi linją graniczną między Szląskiem a Węgrami, enklawę wrzynając się znów w terytorjum galicyjsko-śląskie. Kąt górny enklawy zwrócony w stronę Milówki i Żywca. Od Hut, gdzie zatrzymaliśmy się w wycieczce naszej ku Liptowowi, do owego kąta naprzeciw Żywca i Milówki jeśli przeprowadzić linję lotu ptasiego, to potrzebaby było 4—5 dni takiej miary wędrówki, jaką odbyliśmy od Chochołowa do Zuberca, a gdyby iść brzegiem rzeki wijącego się w skrętach Wagu, — to znacznie dłużej. Oszczędzając sobie znużenia, przenieśmy się tam odrazu myślą, a to wspólnie z Romanem Zawilińskim, który — jak serdecznie wyraża się jedno z pism śląskich — odkrył w tym kącie węgierskim Polaków. P. Z. wędrował tam idąc od Żywca i Milówki dwukrotnie: w r. 1892 i 1893, zaczem złożył o tem sprawozdanie komisji antropologicznej (Akademji umiejętności w Krakowie), która je drukowała w Zbiorze wiad. do antrop. kr. i w Materjałach. Pierwsza wycieczka ograniczyła się do poznania wsi Skalite przy koleji Zwardoń-Czacza, druga trochę dalej w głąb powiatu czadczańskiego w komitacie trenczyńskim nad biegiem rzeki Kisucy w jej zachodnim i południowym kierunku ku rzece Wagu i obejmowała wioski: Rakową, Staszków, Podwysoką, Turzówkę, a pośrednio Maków i Wysoką na pograniczu morawskiem, oraz Krasne i Oszczadnicę. W tym ostatnim kierunku, wschodnim względnie do Orawy, a południowym do Żywieczczyzny zrobił jeszcze jednę wycieczkę p. Zawiliński, aby się przekonać — jaki jest łącznik między wsiami komitatu trenczyńskiego i orawskiego, i dochodzi do takiego ogólnego wniosku językowego, że kąt skalicki, tj. Skalite i najbliższe jej dokoła wsie okoliczne terytorjum węgierskiego, a więc ów kąt górny (nazwijmy go Skalickim) enklawy węgierskiej zwrócony w stronę Milówki i Żywca, — jest polskim, a gwary kisuckie, zwłaszcza południowego kolana Kisucy zwróconego ku Orawie, są przejściowemi między polskiemi, a słowackiemi Polskie będzie brzmi w skalickiem budzie w słowackim bud'e, a w Nowem Mieście nad Kisucą — budze; pol. robić, skal. robić, słow, robit', Now. miasto robic.

(C. d. n.).

Ostatni romantyk.

(Ciąg dalszy).

Nie posiada jednak Ujejski łatwości, właściwej naprzykład niezrównanemu pióru Słowackiego. Obok utworów, które swobodnie, same płynęły mu z myśli, spotkamy nieraz rzeczy trudne, gdzie zdania ciężko przez piętrzącą się formę wydostają. Znać w nich wysiłek, pewne forsowanie pióra, naginanie do formy, co prawdę nawskróś oryginalnej, która jednak nie zawsze była wytworem natchnienia. Stąd wrażenie, iż duch poety na jednakim poziomie artystycznej twórczości utrzymać się nie mógł.

Twórczość poetyczna Ujejskiego nie zaznacza się wielką wydajnością. Zbiór poezji, jaki nam zostawił, jest wcale niewielki i — rzecz godna uwagi — nie porwał się ani razu na utworzenie czegoś większego, całego poematu lub dzieła dramatycznego; mamy tylko krótkie urywki, jak gdyby poetę przy rozpoczętej pracy napadło nagłe zniechęcenie, lub jakby trudu sobie zadać nie życzył na utworzenie dzieła większego zakresu, bo pomysłów nie brakło, jak wnosić można z rozpoczętych urywków.

Oprócz utworów poetyckich po Ujejskim zostały jeszcze prace piśmienne w prozie. Wielokrotnie występował z przemówieniami publicznemi i te słusznie do utworów literackich zaliczone zostały. Odzywa się w nich bowiem nastrój wyższego polotu obok pięknej, artystycznej formy, właściwej każdemu słowu Ujejskiego. Mowy te w różnych okolicznościach miane — przy narodowych rocznicach, na zgromadzeniach rozmaitych towarzystw, na ucztach, na pogrzebach — są żywem odzwierciadleniem ducha poety; zestawiwszy je chronologicznie,

łatwo po nich przebiedz całą drogę, jaką duch ten w ciągu lat 30 przeszedł.

Zrazu widzimy go takim, jakiego przyjęto jest nazywać zapaleńcem: na chłodno rozważać nie umie, nad rozum wyżej stawia uczucie; zło wszelkie przejmuje go niepomiernym oburzeniem, a dla dobra ma zapał płomienny, kraj swój niecierpliwie pragnie posunąć naprzód. Jest to jeszcze Jeremi, który umie nienawidzić i umie wstrząsać filarami społecznego gmachu. Na przeszłość kraju zapatrywał się w podobny sposób. Społeczeństwo (polskie) podobnem było — mówi — do wielkiego gmachu. „Stał on zbudowany na twardej, błogosławionej ziemi wielkich tradycji narodowych. Fundamentem szerokim z nieociosanych brył granitu był lud i połączone z tym ludem, bo wyszłe z niego mieszczaństwo. Na tych fundamentach wspierał się kilkupiętrowy budynek hierarchji szlacheckiej. Dolna jego część składała się z surowego, ale przeważnie zdrowego materjału, a czem dalej w górę, tem gorzej: tam już ściany lepione z morszałej gliny, gdzieniegdzie przetykane zdrowymi kamykami, cóż z tego, kiedy bez łączności z sobą. A na takim budynku dach możnowładztwa, spleśniały, zarażony roztaczającym go grzybem zepsucia, dach podziurawiony, przepuszczający przez siebie każdy wicher, każdą plutę zewnętrzną — sam gnijący i rozszerzający zgniliznę na cały budynek. A na tym dachu król — jedwabna chorągiewka“.

O sobie mówi: „jestem za gorący, a przytem bezwzględnie szczery; nie lubię krętych dróg, wolę gościniec choćby cierniami usłany, a wprost do celu prowadzący.. Dla miłej zgody nie zrobię nigdy najmniejszego ustępstwa z wewnętrznej treści moich przekonań“.. Do narodu zaś stosuje: „wolę męczeństwo niż demoralizację“. Niema położenia, w którem by godność narodową wolno było na szwank narazić; przyczyny, które usprawidliwiłyby odstępstwo w tym razie, są efemerycznemi, a w skutkach nieszczęśliwemi.

W przemówieniach z lat późniejszych wieje nastrój bardziej spokojny, niż w uprzednich; tchną one przebaczeniem, wyczekiwaniem i są przedewszystkiem chrześcijańskie. „W młodości mojej — sam przyznaje — byłem potrochu terorystą. Później z mądrością wieku i doświadczenia wróciłem do treści ducha polskiego, do miłości, do wyrozumienia, do przebaczenia“. Współczesnych mu ruchów społecznych i duchowych nie rozumie, dopatruje w nich jedynie oznak rozkładu, nieuwzględniając czynników, które bądź co bądz przyczynią się do postawienia przyszłości na poziom wyższy. Wiarę w przyszłość naszę ma zawsze niezachwianą „po wieku następnym, mówi, zapanuje duch światła i chrześcijańskiej wolności, szkoła otrzyma naczelne miejce, a nie kasarnia, i książka a nie karabin!“ — lecz że ją „wywalczym orężem“, już się przytem nie powtarza.

I ten nastrój łagodnego światła, cichego smutku i wielkiej powszechnej miłości towarzyszy poecie aż do końca wzrastając ciągle.

Największej jednak wagi słowem publicznem Ujejskiego są „Listy z pod Lwowa“. Nazwaćby je również można najpotężniejszem i może najpiękniejszem jego słowem. W żadnem z dzieł poetycznych nie uwidacznia się tak wyraziście charakter jego myśli, i całość przekonań. Gdyby nie istniała żadna z jego poezji, mielibyśmy w „Listach“ całego Ujejskiego, z potężnym, a gorącym jego duchem, z tem wszystkiem w co wierzył, co ukochał, nad czem bolał i czego pragnął. W Listach“, jak to sam we wstępnem słowie oświadcza; staje na stanowisku prokuratora i przewinienia wielkich rodaków rzuca publicznie przed ołtarz sprawiedliwości, na sąd całego narodu. „Listy“ pisane są w 1860 roku, a zatem w dobie, kiedy twórczość poety dosięgła najwyższego punktu rozwoju, kiedy najpiękniejsze rzeczy z pod pióra jego wychodziły.

Pierwszy z tych oskarżających listów wystosowany jest przeciw przywódcom inteligencji Wileńskiej. Była to chwila kiedy świeżo ukoronowany car Aleksander II. zjechał w odwiedziny do Wilna. Głowę młodego despoty otaczał wówczas, jak dziś Mikołaja II., taki sam nimbus tęczowy, utworzony przez bujną naszą wyobraźnię samą siłą pragnień, ziszczenia których zbyt długo z utęsknieniem czekano. Mieliśmy wówczas, tak samo jak dziś, ugodowców, odmiennej tylko barwy; bo kiedy dzisiaj panowie ugodowcy żądają n i e d r a ż n i e n i a, z g o d y, pogodzenia się z obecną chwilą, to jest z obecnym uciskiem, w nadziei ułaskawienia niechętnych dla nas Rosjan, — ówcześni ugodowcy widzieli Aleksandra II. w apoteozie wskrzesiciela Polski — Polski wolnej, wielkiej, pod łaskawem berłem pobratymczego monarchy-ojca kwitnącej. Oszołomione tym fanatycznym, dzikim snem na jawie najwidniejsze głowy inteligencji wileńskiej biły czołem przed petersburskim tronem i hymny wielbiące rozbrzmiewały w najlepsze. Ciekawy to zaiste objaw w naszej historji porozbiorowej, w naszych dziejach niewoli. Niewola zwykle przynosi upodlenie, lecz przynosi również tęczowe majaki, którym podlegają słabe, zdzieciniałe głowy, nie mające dość hartu, aby z jasną myślą i niezłomną wolą przenosić męczarnie ucisku.

Na owa poddańcze głosy uwielbienia, od których głośno było w kraju, porwał się poeta i prorok narodowy; jak postrzałem w samą pierś ugodzony orzeł, roztworzył skrzydła i padł z góry na kraczące ptactwo, krwawiąc się przytem własną krwią rozdartej piersi.

W czasach dzisiejszej ugody, na nieszczęście nie posiadamy drugiego takiego orła w śmiałości i sile; przyszłemu pokoleniu, z rumieńcem wstydu na czole czytającemu dzieje ojców, nie błyśnie przed oczyma taka postać, nie zabrzmi ostry głos, wobec którego z westchnieniem ulgi wykrzyknąć byłoby można: „naród ustami wybrańca protestował!“

W krótkim czasie po liście pierwszym ukazał się drugi; ten innego już jest charakteru. Autorowi chodzi o sponiewieranie świętych pamiątek po starych zasłużonych pracownikach ojczyzny.

Rodzina Sieniawskich z dawien dawna służyła ramieniem i piersią Rzeczypospolitej, broniąc nietykalności jej granic, krwi swej nieżałowała, a nieraz życie kładła w ofierze. Wszakże potomkowie bohaterów wyparli się wszelkiej o nich pamięci. Nie umieli uszanować świętych po nich pamiątek, w poniewierkę poszły nawet kości wielkich pradziadów! Bo oto na starym pełnym chwały zamczysku w Brzeżanach, w grobnicy wielkich mężów urządzono — skład na wódkę!

(Dok. nast.). *W. Dalecka.*

Emancypacja i rodzina

odczyt p. Izy z Moszczeńskich Rzepeckiej.

Podjęta jeszcze w zeszłym miesiącu w „Czytelni katolickiej“ dyskusja na temat „Nowoczesne dążności kobiet,“ nie została bez echa. Nasamprzód „Robotnik“ ujął się za obrażoną w tej dyskusji kobietą z proletarjatu, o której tam powiedziano, że ma tylko pojęcie o strojach, zabawach, rozrywkach, i że aby zdobyć na nie grosz, dąży do spełnienia marzeń z całym uporem, choćby nawet kosztem cnoty dziewictwa! Potem młodzież akademicka w „Czasopiśmie' akademickiem“ odparła stanowczo rzucony jej przez prałata Gnatowskiego zarzut, że: „Akademicy mają dla swych koleżanek tylko litość i lekko je traktują, rozumiejąc to dobrze, że przebytek wiedzy, to nie salon“. W zeszły piątek p. Niedziałkowska, wygłosiła w „Kole literacko artystycznem“ odczyt, który już czytelnicy nasi znają, a w którym położyła nacisk na to, że Polka ofiarą i pracą dla Ojczyzny zdobyła sobie prawo obywatelstwa i że kobiety, szukające pracy zarobkowej i dążące do wyższego wykształcenia, nie idą za głosem mody, ale dostosowują się do obecnych warunków społecznych. W końcu w „Czytelni dla kobiet“ zabrała głos w tej sprawie p. Iza z Moszczeńskich Rzepecka.

Pani Rzepecka omawiała głównie sprawę ze stanowiska, jakie kobieta zajmuje w rodzinie, i twierdzi, że dzisiejsze społeczeństwo, które tak szumne wygłasza frazesy o powołaniu kobiety, jako matki rodziny — czyni bardzo mało, aby wytworzyć doskonały typ kobiety i żony“. Aby tego dowieść zastanawia się nad wychowaniem fizycznem kobiet, nad wykształceniem ich umysłowem i pracą zarobkową, a w końcu nad stanowiskiem jej wobec prawa.

Obecny system wychowania kobiet — mówi prelegentka — przyspasabia je jak najgorzej na przyszłe żony i matki. — Obecne społeczeństwo, — a raczej jego warstwy uprzywilejowane, bo te tylko bywają brane w rachubę, gdy mowa o społeczeństwie, zamiast rozwijać siły fizyczne przyszłych matek, robią wszystko, aby je wydelikacić i przeszkodzić naturalnemu rozwojowi sił fizycznych, a istnieją ku temu rozmaite sposoby. Stroi się je od dzieciństwa, nie dozwala się im bawić swobodnie, aby nie zmięły i nie zbrudziły sukienek, przestrzega się swobodnych ruchów, krępuje gorsetem, który nie dopuszcza swobodnego rozwoju klatki piersiowej, i innych organów. Ręka dobrze ułożonej panienki powinna być delikatna, a więc nie śmie dźwignąć ciężaru, twarz okrywa się starannie przed promieniami słońca — słowem robi się wszystko, aby z kobiety urobić stworzenie niedołężne fizycznie, a później tak sztucznie urobione cechy uznaje się za wrodzone płci niewieściej właściwości i na tej podstawie nazywa się ją płcią słabą. Zajęciem jej — robótka szydełkowa — koroneczka, wstaweczka, która wobec wzrostu przemysłu fabrycznego nie daje zarobku, a rodzinie nie przynosi korzyści, zaś dziewczynę zmusza do wytężania oka, do siedzenia w postawie pochylonej i zabiera czas, który mógłby być użyty na ćwiczenia fizyczne. Czy z tych dziewcząt mogą wyrość zdrowe i silne matki, odpowiedź rozumie się sama.

W nauczaniu dziewcząt panuje ten sam system: uczy się je języków, kształci talenty, których najczęściej nie posiadają; ale arytmetyka, grająca tak ważną rolę w przyszłem życiu pań domu, w której ręku spoczywa dobrobyt rodziny, bywa traktowaną po macoszemu, nauki przyrodnicze zajmują także bardzo skromny kącik w programie nauk dziewcząt, a i to unika się jak nastaranniej wszelkich niezbędnych dla przyszłej matki wiadomości o budowie organizacji kobiety. W racjonalnym programie — mówi prelegentka — nauki przyrodnicze powinny zajmować pierwszorzędne miejsce, na nich oprzeć należy naukę hygjeny, a psychologja i pedagogja powinny być dla

wszystkich dziewcząt przedmiotem obowiązkowym. Fałszywa pruderja powinna też ustąpić: unika się przed panną jakiejkolwiek aluzji, odnoszącej się do macierzyństwa, które ma być celem jej życia i przyrodzonym zawodem, bo naiwność i nieświadomość to główne zalety dobrze wychowanej panny. — Czy to jest racjonalne wychowanie przyszłych matek? Wychowawcy działają przeciw naturze, oszukane przez nich wychowanki, oszukują nawzajem wychowawców, udając nieświadomość, — a w skutek takiego systemu wychowania wypacza się charakter kobiety, bo pozbawia się ją silnej i świadomie kierowanej woli — cnota jej staje się czemś przypadkowem, okolicznościowem, czemś, co się otrzymuje z zewnątrz, jak nazwisko lub pozycję społeczną. Tak to tworzą się pewne kategorje kobiet, o których cnocie powątpiewać nie wolno, inne, od których cnoty nikt nie wymaga, a wreszcie z góry od niej odsądzone.

Gdy chodzi o domowe wykształcenie kobiet, nawołuje się je do obowiązków rodzinnych i mówi się, że zarobkowanie kobiet przynosi szkodę rodzinie przez wydalanie się matek z domu. Ale ci sami, którzy w imię tradycji nie pozwalają zarobkować kobiecie z inteligencji, nie gorszą się wcale tem, że miljony kobiet z ludu i proletarjatu wydalają się na cały dzień z domu dla zarobku, i zgadzają się na to, że kobietom wolno zarobkować w tych zawodach, które zmuszają ją na wydalanie się dłuższe z domu. Praca w fabrykach, w sklepach, w szwalniach wydala je na cały dzień z domu, a praca biurowa zaledwie na kilka godzin. Akuszerką kobieta być może, może całe dnie i noce spędzać za domem, ale nie powinna być lekarzem, bo ten zawód nie licuje z jej przyrodzoną skromnością i wydala ją z domu na kilka godzin w ciągu dnia. — Wogóle moraliści, troszcząc się o kilkaset tysięcy rodzin sfer zamożniejszych, zapominają o miljonach rodzin uboższych, a przecież wszyscy ludzie mają równe prawo zakładania i pielęgnowania swych rodzin.

W końcu zastanawia się prelegentka nad stanowiskiem, jakie zajęło prawo wobec kobiety: żony i matki. Kobieta z chwilę zamążpójścia nie zyskuje nowych praw, ale przeciwnie traci dawne. Logika urządzeń społecznych, wymagająca aby kosztem cięższych obowiązków okupywano prawa chociażby takie, które wypływają z tych obowiązków, milknie w tym razie. Kobieta, która gra tak ważną rolę w powstaniu rodziny, zajmuje w niej pod względem prawa upośledzone stanowisko. Nie wolno jej rozrządzać majątkiem własnym ani dzieci; w kwestjach, dotyczących rodziny, nie ma głosu; obowiązkiem jej jest pielęgnować i wychowywać dzieci, ale nie ma prawa decydować w wyborze zawodu syna i nie pytają jej o pozwolenie, gdy chodzi o zawarcie małżeństwa dzieci. Wrazie rozwodu lub śmierci, nie powierza się jej opieki nad majątkiem dzieci. Opiekę tę matka musi dzielić z człowiekiem obcym, jakgdyby on miał chronić dzieci od krzywd, jakieby im rodzona matka wyrządzić chciała. Paragraf pozwala kobiecie wstępować w związki małżeńskie już od 16. roku życia, a chociaż uważa ją pod tym względem za pełnoletnią, w latach o wiele późniejszych, jako matce rodziny, odmawia jej zdolności świadomego i rozważnego rozporządzenia swoim i swoich dzieci losem.

Dlatego też dla rozwoju przyszłych pokoleń korzystniejby było, gdyby ten wysoki szacunek, jaki się dziś wypowiada dla matek w przemówieniach publicznych i toastowych, wyraził się w sposób pozytywny w uznaniu ich praw i podwyższeniu ich społecznego stanowiska, aby umiały i mogły działać na korzyść przyszłych pokoleń.

Tak dochodzi prelegentka do wniosku, że nawet zapatrując się na kwestję kobiecą ze stanowiska ludzi, którzy twierdzą, że kobieta winna być tylko żoną i matką rodziny, należy domagać się gruntownej reformy wychowawczej, obyczajowej, ekonomicznej i prawnej, jeżeli życie rodzinne chcemy podnieść, uszlachetnić, umoralnić we wszystkich sferach społecznych.

Pośmiertne wydanie.

Z MYŚLI ZAGASŁYCH.

SZEREG TRZECI.

(Ciąg dalszy.)

Gdybym przesądnym był lub fatalistą, wierzyłbym w szczególne znaczenie dla mnie dnia dzisiejszego: łaskawe tym razem fatum miałoby mi go zesłać niby, aby ułatwić wszystko, co mi jest przeznaczone. Nie jestem ani jednym, ani drugim — i dzień ten uważam za równie niewinny, jak resztę dni moich.

Byłem coraz ociężalszym i tępszym podczas zajęć biurowych. Już na początku sprawozdania rocznego popełniłem kilka rażących błędów, a w dalszym ciągu szło mi jeszcze gorzej. W tym roku nie byłem nawet tak sumienny i staranny, jak dawniej. Ponieważ jednak wyglądam bardzo blado i chudy jestem, jak po chorobie (musi mię nużyć swoją drogą

moja nocna robota) — nietylko uszło mi wszystko, lecz nawet łaskę zyskałem. Mam szczęście w planach moich. Zamiarowi memu sprzyja widocznie bóstwo jakieś opiekuńcze — wszystkie muzy z Apollem na czele! Korzystajmy więc, korzystajmy...

A więc mam całkiem wolnych dwa miesiące — tyle mi już tylko potrzeba.

Najbliższy mój zwierzchnik, ten „litościwy“, nieporównany w protekcjonalnej dobroci swojej — raczył mię przywołać do siebie i rozmówił się ze mną „całkiem po ojcowsku“, klepiąc po ramieniu z dobrotliwym uśmiechem:

— Po tak „mozolnej“ pracy — należy się panu naprawdę wypoczynek...

— Pan mi wymawia posadę? — pytam tak apatycznie i spokojnie, jak gdybym chciał się dowiedzieć, która godzina.

— Ależ skąd znowu, panie kochany, — zacóżbyśmy panu wymawiali? Wszak każdy widzi staranność i dobre chęci pańskie. Tylkośmy to spostrzegli, czego pan sam nie zdaje się zauważać. Wyglądasz pan bardzo nieszczególnie, kompletnie jak chory. A że teraz, po nowym roku, w ciągu dwóch miesięcy będziemy mieli znacznie mniej roboty — możemy śmiało dać panu urlop, niewątpliwie potrzebny. Skorzystaj pan, spocznij i wzmocnij się na dobre. Doprawdy, jesteś pan dla mnie nadzwyczaj sympatycznym... i nawet powierzchowność masz pan tak... niepospolitą... tak obiecującą...

Spostrzegam lekkie, powstrzymywane uśmiechy pod wąsem u moich „zdolnych“ kolegów, którzy mię nawet „dosyć lubią“, bo nikomu z nich w drogę nigdy nie wszedłem, niczyim rywalem być nie mogłem.

— Czy tak? — odpowiadam prawie mimowoli, ale tonem tak żartobliwym i swobodnym, że brzmi on jakoś dziwacznie, nieodpowiednio w tem otoczeniu i użyty wobec zwierzchnika. — Dziękuję panu za urlop i komplementa: istotnie powierzchowność moja nie ma w sobie nic .. biurokratycznego. A jeśli nadużyję urlopu i samowolnie go przedłużę — czy wówczas pan mię wydali?... Nie, pewny jestem, że i wówczas — nie będzie pan m ó g ł mię wydalić...

Uśmiecham się prawie wesoło i nie zważając na powszechne zdziwienie, spozieram po raz ostatni na dużą, mroczną salę — ostatni, jak mi się zdaje; kłaniam się wszystkim dokoła i wychodzę.

I wam zdawało się, ludzie, że to „ja“ między wami marniałem?! Nie ja, — o nie ja wcale! lecz tylko „ma pauvre bête“, jak mówi Xavier de Maistre, znający się już dobrze prawie sto lat temu na „rozdwojeniu jaźni“...

Przed wami był tylko aktor w nędznej i nikłej roli, niegodny was kompars, a wyście, jak głupie dzieci — aktora czynili odpowiedzialnym za rolę... Zużytkuję wasz urlop przepysznie, — tę kość, rzuconą mi łaskawie z waszego sytego obiadu!... Lecz mniejsza o was Co mi po waszych sądach!

Wówczas, gdy głowa moja opierała się coraz bardziej, gdym ją tyranizował waszemi bezmyślnemi robotami, chyliła się ona po nocach nad „moją“ pracą, owiana podniosłą mocą myśli i zasilana gorącemi falami krwi serdecznej... Wracając z biura o piątej od kilku już miesięcy, rzucałem się na łóżko i spałem snem twardym aż do dwunastej w nocy. A potem podniecony, pracowałem do rana — aż do godziny biurowej.

Jak ja rozkosznie piszę temi nocami! Jak się zaostrza, pogłębia, subtelnieje wzrok i słuch duszy mojej! Myśl dyktuje tak szybko, że ręka zaledwie zdążać może — i nieraz drżąca, kreśli litery nieczytelne prawie. Obawiam się, że mogą ich nie wyczytać — a pomódz nie będzie już komu.. Pilno mi, śpieszę — lecz trzeba się powstrzymać i wziąść w kluby, by nic się nie zmarnowało. Wolniej, wolniej, biedny mój duchu, wyrywaj się z więzienia! Wkrótce uzyskasz swobodę... nieograniczoną.

Kilka miesięcy zaledwie upłynęło od pamiętnego postanowienia, a już skończyłem dwie spore rzeczy, skończyłem na papierze, gdyż w głowie dojrzały one oddawna — i napisałem kilka mniejszych z tematów wybranych, ulubionych. Pozostaje mi jeszcze parę gwałtownie rwących się do życia — a wtenczas wytchnę... czasowo, czy wiecznie. Będzie zależeć to od nastroju... od chwili — szczęśliwej, czy nieszczęśliwej — sam nie wiem, jak mam ją nazwać.

(Dok. nast.). *Janina Baudouin de Courtenay.*

„KLĘSKA“

Świeżo wydana pod powyższym tytułem powieść dwóch braci Margueritte cieszy się niesłychanem powodzeniem w Paryżu. Ale bo też „Klęska“. (Le Désastre) zjawiła się na półkach księgarskich w szczęśliwej dla siebie chwili, jest ona bowiem repliką na „Pogrom“ (Débacle) Zoli, apoteozą armji cesarskiej z r. 1870. Niezależnie jednak od nastroju chwili dzieła pp. Pawła i Wiktora Margueritte zapewniają poczytność niezaprzeczone pisarskie zalety, między któremi obrazowość, pierwsze zajmuje miejsce. Przytoczony poniżej ustęp, jako bardzo charakterystyczny, pozwoli zresztą czytelnikom „Tygodnia“ wytworzyć sobie pojęcie o tonie i duchu całości.

Rzecz dzieje się w Paryżu, po ogłoszeniu wojny z Prusami.

* * *

Zmierzch nadaremnie walczył z blaskami wspaniałego dnia letniego, który nie chciał ustąpić mu miejsca. Aleja Pól Elizejskich, natłoczona publicznością, biega jeszcze jasną smugą pod zielonem stropem aż do ciemnej ściany Łuku tryumfalnego (l'Arc de Triomphe). Plac Zgody robił wrażenie mrowiska Nagle wszczęła się wrzawa. Tłum pomknął gwałtownie w stronę Pont-Royal, kędy przeciągał oddział wojska przy dźwiękach bojowego marsza. Wołano: „Niech żyje armja!" Okrzyk, powtarzany przez tysiąc ust, huczał w powietrzu przeciągle, oddalając się stopniowo i słabnąc niby szum wiatru lub ryk morza.

Latarnie gazowe zapalały się jedne po drugich na ulicy Royale. Publiczność zdobywała wstępnym bojem miejsca przy stolikach kawiarnianych. Tłumy napływały zwartą falą. Wyrywano sobie świeże dzienniki, rozmawiając głośno, żartując i dowcipkując. Kobiety w jasnych, świątecznych strojach zdawały się najbardziej pobudzone. Opaśli mieszczanie usiłowali przybrać postawy i miny wojownicze; niektórzy z nich prowadzili za rękę synków, przebranych po żołniersku. W powozie ukazały się witane okrzykami, trzy młode dziewczyny w barwach narodowych: błękitnej, białej, czerwonej. Błękitna, wcale ładna, zachwycona złotemi epoletami wojskowego Du Breuil, przesłała mu ręką pocałunek.

Wtem zabrzmiała Marsyljanka, śpiewana całą siłą płuc. Powozy musiały stanąć. Ludzie w białych bluzach, postępujący na czele kolumny, w której się znajdowało tyleż czapek, co i kapeluszy, torowali drogę. Ci opętańcy chwytali konie za wędzidła i wywijali w powietrzu sękatemi kijami. Jakiś starzec z długą brodą wrzeszczał do zapamiętania się. Obok niego postępował trupiej bladości młodzieniec, którego głowa, ociężała od wina, przewalała się z jednego ramienia na drugie. Fala ludzka przepłynęła, pozostawiając za sobą ostry zapach potu i wyskokowych napojów.

Powóz, którym jechał Du Breuil, zatrzymał się na rogu ulicy Le Peletier. Młody wojskowy, zniecierpliwiony, rzucił dorożkarzowi zapłatę i skierował się pieszo do kawiarni Riche. Przestępując jej próg, usłyszał głos, woźnicy, który wołał zapraszającym tonem:

— Proszę siadać! Mam dobrego konia! Dwa wolne miejsca do Berlina!

W mgnieniu oka utworzyło się zbiegowisko, potem dały się słyszeć groźby, okrzyki, wreszcie zawiązała się bójka. To tłum mordował jakiegoś Niemca, który ośmielił się zrobić uwagę, że trzeba mieć lepszego konia, aby dojechać z Paryża do Berlina.

Du Breuil przesuwał się przez salony kawiarni, odprowadzany płonącemi spojrzeniami licznie zgromadzonych gości, których zachwycał jego mundur. Szukał tu przyjaciela d'Avola. Spostrzegł go nareszcie przy nakrytym do obiadu stole, pogrążonego w czytanie dzienników.

Koledzy powitali się serdecznym uściskiem dłoni.

— A no, armja odbiera dziś nielada honory — myślał Du Breuil, wydając dyspozycje służbie, która skupiła się, pełna uszanowania koło ich stolika.

Szmer rozmów, niebieskawe obłoki tytuniowego dymu, oślepiające światło żyrandoli, których liczbę podwajały zwierciadła, wszystko to działało podniecająco na Avola. Nie odczuwał już teraz zmęczenia, było mu dobrze przy suto zastawionym stole, wśród ruchu, który panował w sali. Przez uchylone okna przedostawał się z zewnątrz nieustający gwar ulicy, czasem okrzyki, wiwaty

— Wiesz, drogi, zazdroszczę ci — mówił gorączkowo do przyjaciela. — Jesteś u źródła, wszystko przez twoje ręce przechodzi, wiesz wszystko, podczas gdy my, ciemni, jak tabaka w rogu, idziemy po omacku. Ale nakoniec pojutrze wybije stanowcza godzina: pojutrze wyruszamy! Żegnaj, stolico! W drogę do Nancy, a potem do Metz. Przyjemnie nam będzie znaleźć się znowu w Metz, z którym tyle wspomnień nas wiąże. Pamiętasz kawiarnię Paryską? A partje bilardu? A nasze obiady niedzielne?

Wspomnienia obległy ich tłumnie.

— Dziwnie mi jakoś pomyśleć — kończył Du Breuil, że tam, gdzieśmy wesołe odbywali wycieczki, znajdziemy się może wkrótce z bronią w ręku, czujnym słuchem, wytężonem okiem.

— Zwarjowałeś! — zaprotestował Avol — Metz nie może być nigdy placem boju. I to mówisz ty, powiadomiony o wszystkiem z pierwszej ręki?...

— Ba, nie wiem czy ktokolwiek zna dokładnie plan kampanji. To jedno pewne, że strona, która pierwiej stanie gotowa do boju, mieć będzie przewagę.

— Ależ my jesteśmy już od tygodnia gotowi! A co do planu kampanji, dziecko by go potrafiło nakreślić. Po skoncentrowaniu armji przykroczymy Ren i pociągniemy do Badenu, aby odciąć Niemcy Północne od Południowych. Sparaliżujemy Bawarję i Würtemberg. Austrja i Włochy uzbroją się. Pozostaną owe sławne Niemcy Północne, ale co one dla nas znaczą? Alboż nasi ojcowie nie byli pod Jeną?

Wrzawa uliczna przerwała rozmowę. Wzburzony tłum cofnął się nagle do teatru Rozmaitości, popychając się i depcząc wzajem-

nie. Grono ludzi niosło, zamiast pochodni, nasycone smołą i zapalone miotły. Trzech z pomiędzy nich dźwigało żołnierza linjowego pułku. Wszyscy śpiewali na całe gardło hymn żyrondystów: „Umrzyjmy za ojczyznę!“...

Du Breuil i jego przyjaciel wyszli z kawiarni, spiesząc na operę. Na widok ich mundurów zerwał się wrzask: „Niech żyje Francja!“ Ostroga Du Breuila zaplątała się w suknię jakiejś pięknej pani, wyglądającej na młodą mężatkę. Wojskowy zaczął przepraszać, ale ona mu przerwała uprzejmie. Zarumieniona jej twarzyczka wyrażała żywe zadowolenie, a mąż zdawał się w zupełności podzielać jej uczucia.

Wśród nieustających dowodów sympatji i szacunku dwaj przyjaciele dotarli nareszcie do gmachu opery, Sala widzów, cała w czerwieni i złocie, tonęła w potokach światła. Wszystko, co tylko Paryż posiadał znakomitego, znajdowało się w jej murach. Panowała tu gorączkowa atmosfera. Błyszczące oczy, zapłonione twarze mówiły, że wszystkich jedna ożywiała myśl. Oczekiwano z niecierpliwością ukazania się Marji Sass, która miała odśpiewać Marsyljankę. Nareszcie kurtyna uniosła się zwolna i znakomita artystka ukazała się na scenie, witana tłumnym okrzykiem.

Ubrana w białą tiunikę grecką i takiż płaszcz, usiany złotemi pszczołami, ze sztandarem trójkolorowym w ręku, Marja Sass posuwała się naprzód ruchem, właściwym sobie w wielkich rolach dramatycznych i śród nieopisanego wzruszenia, rzuciła słuchaczom pierwsze dźwięki i pierwsze słowa: „Hej, naprzód, synowie ojczyzny!“ („Allons, enfants de la patrie!“

Część widzów zerwała się z miejsc. Wtem zagrzmiał rozkazujący głos, — głos Emila de Girardin: „Wstać!“ i tłum go usłuchał, jak jeden mąż. Każdy czuł że w piersi budzi mu się jakaś dusza inna, zbiorowa, olbrzymia. Coś niby ostry powiew wiatru, przebiegło zgromadzonych, podnosząc im włosy na głowie i dreszczem wstrząsając ich ciała. Orkiestra wtórowała szumnie sławnej pieśni. Marja Sass śpiewała pierwszą strofę drgającym głosem, którego tony przypominały błyski obnażonych szabel i purpurę krwi. Burza oklasków zerwała się w odpowiedzi. Teraz artystka do wyższych ucieka się tonów, śpiewa głośniej, potężniej, a śpiew jej rośnie, olbrzymieje, wypełnia salę, zdaje się rozciągać na wzruszone miasto, na uzbrojony kraj. Ogniste słowa biją, jak dzwony na alarm, huczą głosem dział. Zagrożona ojczyzna przemawia do wszystkich serc... Hymn narodowy, długo wygnany, jaśnieje świeżą pięknością, życiem, niegasnącym blaskiem.

Nous entrerons dans la carrière,
Quand nos aînés n'y serons pas!

Wzruszenie dobiegło szczytu. Szał ogarnął najzimniejszych. Mężczyźni śmieli się nerwowym śmiechem, szarpali wąs, kobiety łamały wachlarze, powiewały chustkami. Artystka, tragiczna, urocza, jaśniejąca niepokalaną bielą pod rojem złotych pszczół, była jakby wcieleniem cesarskiej Francji. Porwana ogólnem uniesieniem, zdawała się prorokować zwycięstwo. Jena, Austerlitz, Sewastopol, Solferino błyskały w płomieniach, we krwi i chwale...

Szalona wrzawa zagłuszyła ostatnie nuty. Po sali przebiegł jeden z tych prądów elektrycznych, które galwanizują tłum, stapiając go w jedną całość, — i tłum ów, drgający, z wyprężonemi ramionami, o nieprzytomnych twarzach, wołał tysiącem ust:

— Niech żyje Francja! Na Berlin!

Tłumacz. *M*

☆ Nowe książki. ☆

Dr. Z. Hofmokl. — Papiery lokacyjne a giełda.

W rozprawie pod tytułem powyżej podanym zajmuje się autor papierami lokacyjnymi, główne cechy których, odróżniające je od walorów spekulacyjnych, upatruje p. H. w bezpieczeństwie kapitału i pewności dochodu. Po tej ogólnej definicji rozpatruje autor poszczególne rodzaje owych papierów, a mianowicie: rentę państwową, listy zastawne oraz tzw. prjorytety niektórych kolei, które swemi gwarancjami zbliżają się do dwu pierwszych kategorji.

Po tych wstępnych uwagach przechodzi autor do głównego celu swej rozprawy, a mianowicie do kwestji umarzania i konwersji papierów lokacyjnych i ich wpływu na obieg tych papierów. Zdaniem autora „zupełnie słusznem i uzasadnionem jest żądanie, aby operacje takie, jak umarzanie i konwersja mogły się tylko w takich warunkach dokonywać, które postawiono przez wzgląd na interes obustronny w tym stosunku kredytowym: i wierzyciela i dłużnika“. Wywody swe popiera autor danemi ze stosunków ekonomicznych Anglji, Francji, wskazując, że wszystkie państwa, choć różnemi drogami, doszły do systemu „dobrowolnego umarzania“ długów z przypadkowo tylko uzyskanych nadwyżek w bilansie rocznym. — Obecny system umarzania listów zastawnych nie zadwala autora. Podnosząc jego wady, dające się dotkliwie uczuwać głównie klasie drobnych kapitalistów, lokujących w tych papierach swe oszczędności, podaje p. H. projekt zmian w technice amortyzacji listów zastawnych.

To samo zasadnicze stanowisko, o którem pisaliśmy wyżej, kieruje poglądem autora na sprawę konwersji.

Rozprawa p. Hofmokla świadczy o jego fachowej znajomości przedmiotu; język i styl są ciężkie i pełne zwrotów, mowie naszej obcych.

p.

Z drukarni Z. Golloba.